



Marya Konopnicka.

Ona mówi i śpiewa, zarówno za istoty, jak i za rzeczy, które albo nie umieją uświadamiać własnego bytu, albo są nieme. To znaczy naprzód, że wszyscy wydziedziczeni, a więc starce, wdowy, sieroty, którym głodno, chłodno, pusto i źle na świecie, którzy jęczą pod przemocą praw naturalnych i społecznych, pod pogardą i niemiłosierdziem możliwych, gdyby mogli i umieli wypowiadać w pieśni swoją niedolę i swoje bóle, wypowiadali-by je Jej słowami. Ona jest ich skargą wobec nieba i orędowniczką wobec sytych. Zdarzało się też Jej czasem podnosić oczy pełne łez, albo nawet gniewu ku górze i pytać: czemu tak jest? dlaczego istnieje tyle zła, tyle nędzy, tyle męki, tyle rozpacz? Brzmiało to nieraz, jak wyrzut i z tego powodu krytyka, ta mianowicie, która jest więcej surową, niż wyrozumiałą i dobrotliwą, zarzucała jej niejednokrotnie brak wiary i zgody z wyrokami Opatrzności. Zapominano przytem, że takie pytania stawia Bogu w imieniu nieszczęsnych,—nie filozoficzny umysł, który w Niego nie wierzy, ale rozdarte serce, które boleje. Zapominano, że podobnych skarg pełno jest np. w Starym Testamencie, i że zostały one niezmiernie uświęcone w Nowym, słowami: „Panie, Panie! czemuś mnie opuścił?” — Biedota wtłoczona w kolej nędzy i niedoli cierpi najczęściej bez szemrania, mniemając, że to jest przyrodzona

kolej rzeczy ludzkich, ale gdy serce poety odczuje ból zbiorowy, wówczas musi się skarżyć—i ta skarga nie jest niewiarą, ale raczej modlitwą.

Więc poetka pyta, boleje, śpiewa i mówi—za poddasza miejskie i za chaty wieśniacze—ale głównie i szczególnie za tę polską wieś, z którą się zrosła, i która Ją sobie na chwałę wykołysała. Niewola społeczna chłopska to rzecz przeszłości; to już minęło i nie wróci, ale po staremu chłop został w niewoli u ciemnoty, w zależności od gleby, od urodzaju i nieurodzaju, od wiatru, deszczu, od gradowej burzy, od braku lub dostatku pracy,—został w jarzmie starości, choroby, biedy, śmierci. W tej kądzieli, z której się przedzie szara nić chłopskiego życia, więcej węzłów i paździerzy niż gładkiego wątku, a często także rwie się ta nić w sposób okrutny i tragiczny. Więc tej doli i niedoli temu ubóstwu, temu sieroctwu, tym komorniczym głodom, tym łożom rześistym, temu naturalnemu przytwierdzeniu do matki ziemi, która czasem okazuje się macochą, tej niemal mistycznej zależności od słońca, chmur, deszczów i gradów, tym na wpół świadomym sobie myślom, uczuciom, instynktom daje Konopnicka wyraz tak potężny, jakiego nikt przed nią dać nie zdołał. W jej poezji tkwi dusza chłopa i bije chłopskie serce; słychać w niej dzwony wiejskie i kołatki trzód, i brzęk kos i sierpów, i rodzinną nutę śpiewów wiejskich, a słychać z taką siłą i prawdą, że wobec artystycznej doskonałości tych sielskich ech, otrzymuje się takie wrażenie, jakby ktoś grał na wysokim szczycie Parnasu, na fujarce wykręconej z polskiej wierzby.

Ale wspomniałem, że Ona mówi nietylko za ludzi. Jakoż ode wsi, prosta droga do natury. Tu znów poetka wkłada w nią własne serce i śpiewa za nią: za rolę żywicielkę i łany zbóż i za pachnące łąki, i za mokre „niezabudki“, które „kupką całą otworzyły modre oczy“ jakby zdziwione, że ktoś potrafi tak za nie czuć i myśleć,—i za wierzby nadwodne, i za brzozy, które płaczą co rano „perłami ro-

sy". A jest w tem ogromna szczerosc — i rozleglosc pól, jest moc i swiatlo, i barwa, i woń, i takie zycie, taki niepojęty dar zlewania się z naturą, iż mimowoli wydaje ci się, że gdyby wiatr mógł poświętywać, a bór szumić mową ludzką, to wiatr musiał-by wiać, a las szumieć tylko Jej słowami.

I w tem tkwi ogromne znaczenie poetki i pieśni. Jeden z krytyków słusznie powiedział o Konopnickiej, że umieszcza ona swe serce w centrum wszystkiego. Innemi słowy, można rzec, że przez nią wypowiada się ziemia i lud, który ją zamieszkuje. Zaiste, wzniosłe zadanie poety! A w ostatnich czasach nasi pieśniarze przyzwyczaili nas do czego innego. Niektórzy wystawiali na pokaz swoje nagie dusze, których nie byliśmy ciekawi, kazać nam je podziwiać, ni by jako pustynie tratowane przez dzikie i wyuzdane tabuny instynktów — ale nie było w tem, ani szczerosci, ani siły. Dusze były wprawdzie dość puste, lecz nie rozległe, a natomiast dzikie wrzekomo tabuny, podobniejsze były do robactwa mrowiącego się w nawozie, niż do rozkiełzanych rumaków. Inni analizowali starannie swoje myśli i uczucia, swój stosunek do świata, swe zwątpienia, swe nastroje, swe wyprawy w krainy piękna, w świat refleksyi lub marzeń, i tworzyli liryki częstokroć bardzo misterne, często przyodziane w formę tak wykwintną, że aż przeważającą nad treścią—więc nieco puste. „Szumny lot olbrzymich ptaków“ przeszedł do wspomnień. Po większej części „nie było tam, nietylko szumnego, ale żadnego lotu. „Artifex“ zdarzał się znakomity—„vates“ ustąpił z oblicza literatury. I z tej drobiazgowości analizy, z tych miniaturowych sposobów malowania, ze zbyt starannego doboru słów, jak kamieni do mozaiki, z tego kolekcyonerstwa podobnych do cacek uczuć, myśli i wrażeń wiało coś chłodnego i starczego. Nadewszystko zaś był niezmierny egotyzm, który poniekąd także jest cechą starości, albowiem młodość radziej zajmuje się światem zewnętrznym, niż własnymi dolegliwościami. W znacznej części taką była nowa poezya ostatnich



lat—prócz tej, jeszcze nowszej, która w pogoni za jakimś pralechickiem samobytnictwem rozsadziła i popsowała wyrobioną przez wieki uprawy formę, a napełniła ją treścią tak mętną, że nikt nie może wyrozumieć o co chodzi. Lecz przeważnie poeta Sobek przepuszczał świat przez filtr własnego: *ja*, tworząc sobkowską analizę i sobkowską lirykę. Uchodzi to zresztą doskonale i wzbogaca skarb popowszechny, jeśli takiemu *ja* na nazwisko Mickiewicz, Słowacki lub Krasiński — ale inaczej rodzą się rzeczy zbyt blabe, jakby bezpłciowe — i pieśni malutkie, któremi „nie odetchnie pierś szeroka“.

Jest zaś rzeczą dziwną, a zarazem niezmiernie charakterystyczną, że z owym prądem sobkowskim nie popłynęły właśnie kobiety. Bo, gdy poeci—mężczyźni wpatrywali się w siebie, jak Budda we własny pępek, one snuły dawną złotą nić takiej twórczości, która miała prawo zwać się „milion“. I oto, jedna tka jedwabiem, złotem i tęczą na olbrzymich krosnach prawdziwe epos, w którym połyskują zbroje husarzy i król olbrzym rzuca groźny cień na władztwo Moslemina.— druga, choć nie wiążaną mówi mową, życie całe poświęca służbie dla swego społeczeństwa, dla jego duszy, ku jego pokrzepieniu i wydobywa z mroków zapoznanych ludzi i zapoznane losy; — trzecia unosi się, jak łabędź na ogromnych skrzydłach nad nami, a w krzyku tego wielkiego ptaka słyhać krzyk ziemi i ludu.

Ziemia i lud są w Niej, a Ona w nich. I ten związek nie rozrywa się nigdy, bo jeśli ów łabędź pożegluje śnieżnemi pióry aż gdzieś na krańce ziemi, nad niezgłębione puszcze brazylijskie, to dlatego, że w tych puszczech huczy polska siekiera i płyną polskie łązy. Jeśli buja pod włoskiem niebem, to i tam na widok blasków drgających „wśród lazurowych staj“, na widok tego ogromnego słońca, na widok dnia, który „nie wstaje, lecz bucha“, przypomina sobie swą północną krainę i cała wzruszona mówi, jakby z żalem serdecznym:

„Ale ja z krain idę, kędy na dnia progę
 „Świt, we łzach cały, długo wyprasza się Bogu,
 „By mu patrzeć nie kazał na stary ból świata.

Choć zresztą, mimo chwil żalu, tęsknoty a nawet goryczy do-
 brze Jej w tej słonecznej krainie. Dodaje ona Jej otuchy, krzepi Ją,
 rozgrzewa Jej skrzydła. Łączy poetkę z Włochami jej aryjska du-
 sza. Odczuwa Ona tam to, co odczuwa każde dziecko łacińskiej kultu-
 ry: czuje się *wnuczką* Italii. Rozumie, że rodzona jej matka wyszała
 z tamtej piersi wiarę, wiedzę, kult piękna, słowem, całą cywilizację.
 A że serce poetki bije zawsze jednym wielkim kochaniem, że jej
 oczy zdolne są tylko przez owo kochanie na świat patrzeć, więc
 to poczucie bezpośredniego związku między duszą rodzicielki, a tam-
 tą słoneczną kulturą, tamtejszem niezrównanem pięknem, napelnia-
 ją radością i uniesieniem.

Drga zaś to poczucie w każdym wierszu, zaostrza wrażliwość
 poetki i uzdalnia ją do odczuwania z wielką siłą włoskiego życia
 i natury. Więc lateraneński dzwon brzmi jej jak coś swojskiego i już
 słyszanego niegdyś. Uroczystą chwilę, w której „Cimabuë pendzle
 złożył z twarzą cichą uśmiechniętą“ będzie odczuwała jak Florentynka
 z XIII wieku. Rozrzewnią Ją też ogromnie „skrzypaczkowie aniel-
 scy“ starego Vivariniego, Belliniego lub nowszego Carpacia. Natura,
 zabytki spowinięte w bluszcze i dzikie wino, pinijskie na tle zorzy
 rzymskich, cmentarne cyprysy w Fiesole, błękitne przezrocza San
 Miniato, wielkie rozlewy weneckie, wspaniałe gmachy, genialne
 utwory dłuta i pendzla wszystko to będzie póty trącało struny Jej
 duszy, póki się nie odezwą rozgłośnie a gorąco wieczystemu pięknu
 i nie wyśpiewają co odczuły.

W miarę zaś tych przelotów, czy to za Atlantycką, czy pod niebo
 włoskie, czy w stronę starego Avignonu, rozszerzały się widnokreśli
 poetki, poezja Jej nasiąkała coraz nową życiową treścią, a forma

stawiała się coraz doskonalsza. Serce Jej, lecąc za chłopskim wyrazem do brazylijskich lasów, cierpiało tam i odczuwało niedolę całej gromady tak mocno, że spotęgowałszy potężną i bez tego wyobrażenie, dało jej dar niemal jasnowidzenia oceanów i puszczy. Kto je zna, musi przyznać, że tam tak jest, jak Ona widzi. To morze, gdy je rozpęta burza, tak się piętrzy i takimi rzeczywiście ryczy głosami, podzwrotnikowa puszcza takim istotnie śmiertelnym tchnie oddechem. Prawda! — wszystko prawda! I z tej to odgadniętej prawdy, z tego niezgłębionego współczucia dla zabłąkanej gromady, z tych jasnowidzeń — z takiego tylko niepojętego daru wnikania w naturę żywiółów i ludzi mogła powstać ta po prostu przedziwna pieśń o panu Balcerze, w której świetna strofa goni jeszcze świetniejszą, z każdej bije piękność, prawda i siła, wszystkie zaś razem są tak proste, jak dusza chłopa, i tak szlachetne i doskonałe, jak greckie kolumny.

Toż samo zaś można powiedzieć o cyklu „Italia“. Jest w nim włoskie słońce i włoski lazur i włoski krajobraz tak pełen ciszy i poezji, jak w obrazach Boecklina—i prostota Quattro cento, i wspańiałość Odrodzenia, i odczucie całej tej głębokiej a wytwornej kultury tak żywe i wysmienite, na jaki zdobyć się może tylko dziecko narodu, który przez długie wieki był jej chorążym na najdalej wysuniętej rubieży.

A jednak ten ogromnie prawdziwy obraz Włoch ma pewne właściwe sobie zabarwienie, jakie mu nadało odbicie się w polskiej źrenicy — a może w polskich łzach. Jest w tych pieśniach jakieś echo, które nadlatuje jakby z bardzo daleka, które coś przypomina i które pyta: „znasz-li ten kraj?“. Jest jakaś szeroka polna tęsknota, a gdy naprzykład w przepysznych dźwiękach naśladowniczych: „Lateraneński Jāna dzwōn na āve bije“, masz mimowoli złudzenie, że gdy ów dzwōn bić przestanie, to wówczas wśród ciszy, pod złotą i liliową zorzą, ozwą się jakieś głosy w dobrze ci znanym i droгим języku:

„Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą“.

.

I oto przypomni ci się ta szara kraina, w której uderza serce poetki i za którą ona mówi.

I ta to właśnie zdolność przedziwnego a zarazem prawdziwego śpiewania za ziemię i ludzi — zdolność dana tylko wybranym — jest głównem znamieniem poetki i jej poezyi.

Ale to jeszcze nie wszystko. Żeby wyśpiewać wiosnę, noc majową, światło księżyca, cichy spokój nocy i zapach bzów i jaśminów— trzeba się urodzić słowikiem. Im większy ogarnia poeta obszar życia, im wyższe uczucia chce wyrazić, im więcej pragnie, im górniej myśli, tem więcej musi mieć strun na lutni. Więc też jak mówi Słowacki:

„Chodzi mi o to, aby język giętki
 „Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
 „A czasem był jak piorun jasny, prędkie,
 „A czasem smutny jako pieśń stepowa,
 „A czasem jako skarga Nimfy miękkie
 „A czasem piękny jak aniołów mowa;
 „Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem,
 „Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

*

„Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą,
 „Potem z niej łyśkać błyskawicą cichą,
 „Potem w promieniach ją pokazać złotą,
 „Potem nadętą dawnych przodków pychą,
 „Potem ją utkać Arachny robotą,
 „Potem ulepić z biota, jak pod strychą

„Gniazdo jaskółcze, przybite do drzewa,
„Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa.

I właśnie, Ona to umie i posiada w stopniu tak wysokim, jak mało kto z dziś piszących.—Język Jej potrafi istotnie „głosić się“ po rosie jak fujarka pastusza i kłaskać, jak słowik, i krakać jak orzeł, i huczyć jak burza — i być w pieśniach wiejskich, jak dziecko które płacze, albo chłopka która zawodzi, a w pieśniach biblijnych być jak łoskot gromu. Ona ci, czytelniku polski, i twoją ziemię, i twoje uczucia wyrazi, i wyśpiewa w twej cudnej mowie z taką mocą i ozdobą, że aż sam zadziwisz się bogactwem tej mowy. Zna też Ona na wskroś ten wielki skarbiec, wie gdzie jakie leżą klejnoty i czerpie z niego obu rękoma i rozrzuca i sypie, ale rozrzucając i sypiąc — jeszcze przysparza.

Podniosłem tylko dodatnie strony Jej pieśni, bo w takiej chwili tak należało. To przecie okrzyk! Zresztą, kto wie, czy nie jest rzeczą słuszną czynić tak przeważnie, gdy się mówi o twórcach tej miary. Ptak to szerokoskrzydły, drzewo, które wysoko wystrzeliło w rodzimym lesie, sława wielka i jasna, pieśniarka sercem miłująca, duchem i mową władna, jedna z prawych dziedziczek i spadkobierczyń po wielkiej epoce narodowej poezji. Twórczości takiej krótkie mi słowy nie można objąć, ani jej w nie zamknąć—ale godzi się i należy złożyć pokłon poetce i uczcić Ją w chwili, w której cała nasza powszechność poczuwa się do tego obowiązku.

HENRYK SIENKIEWICZ.

